**Małe koszmary**

**Autor: Ewa Czapiewska (15 lat)**

W chwili nastania ciemności na niebie wykwitły nieliczne, błyszczące gwiazdy. Mroźne, zimowe powietrze przeszyło całą powierzchnię wątłego ciała dziewczyny. Okryła się mocniej czarnym, sięgającym kolan płaszczem. Wyciągnęła lewą dłoń z obszernej kieszeni i spojrzała na wysłużony zegarek z szarym, skórzanym paskiem. Wpół do siódmej. Zostało jej piętnaście minut. Przyspieszyła kroku. Żwawo przemierzała wąskie, boczne dzielnice miasta, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Mozolnie przeszukiwała bezkresy swojej wcale nie takiej wielkiej torebki, aż natrafiła na zimny, wibrujący przedmiot i nie patrząc na ekran odebrała połączenie.

- Tea, gdzie ty się podziewasz? - Nie marnując czasu na zbędne grzeczności przyjaciółka przeszła od razu do konkretów.

- Wyluzuj trochę, mam jeszcze czas. - Odsunęła telefon od ucha słysząc głośny jęk niezadowolenia.

- Wszyscy już tu są, czekamy tylko na ciebie – z wyraźną frustracją skwitowała ją Sabina.

- Niech ci będzie, pójdę skrótem. Niedługo będę – odpowiedziała i nie czekając na kolejną dawkę wyrzutów z jej strony ruszyła pierwszym lepszym skrótem.

Latarnie najwidoczniej traciły tu swą moc. Światła skończyły się paręnaście metrów wcześniej, a wysokie budynki aglomeracji miejskiej nie miały zamiaru się zwieńczyć. Nagle za plecami poczuła czyjąś obecność. Puls przyspieszył, ale nie dała po sobie poznać oznak niepokoju. Zawsze mógł to być przypadkowy przechodzień. Jednak tutaj przypadki się nie zdarzają. Taki dawno już by ją wyminął. Wyczuła woń ciężkich sosnowych perfum, połączonych ze smrodem potu i wypalonego niedawno papierosa. Mężczyzna. Opętał ją strach. Przeszywający i wstrętny, którego nie mogła się pozbyć. Walczyła o odzyskanie jednostajnego tętna. Złodziej? Morderca? Gwałciciel? Te trzy słowa bez ustanku kłębiły się w głowie. Pomimo zimy doznawała niemiłego gorąca. Pozostawała w palącej niepewności, lecz nie na długo. Usłyszała coraz szybsze kroki nieznajomego. Spanikowała. Nogi dostały nowego wigoru. Pięciocentymetrowe obcasy, które ubierała, aby nie wyglądać na swoje metr sześćdziesiąt pięć nie uciskały tak jak wcześniej. Szeroka, błękitna bluzka choć mokra i klejąca się do ciała nie stanowiła już dyskomfortu. Liczyło się jedno, wyjść z oblodzonego, brudnego zaułka na ulicę. Na pewno mężczyzna zaniecha pościgu w otoczeniu gapiów… Przyspieszył. Dziewczyna biegła. Niezdarnie chwiała się na dobrze wyślizganym lodzie, lecz słysząc ciężkie buty, kruszące okoliczne tafle, nie miała wątpliwości. Musiała uciekać. Skręciła za róg, na uskoku wyrżnęła w niewielki śmietnik. Obcy zbliżał się nieubłaganie. Chwyciła kosz i rzuciła w jego stronę. Nie miała czasu, więc musiała go trochę kupić. Puściła się pędem do następnego łuku. Zaćmione myśli nie zdołały skojarzyć, ile jeszcze zostało do głównej alei. Z idealnie uczesanego koka wypadło parę cynamonowych kosmyków. Lazurowe oczy zaszły łzami, a jasny podkład w kolorze vanilla 01 spływał strugami razem z potem. Płuca odmawiały posłuszeństwa. Nigdy nie spodziewała się, że może biec tak długo w zbyt szybkim na jej możliwości tempie. Kolejne śmieci na drodze, rozbite szkło. O róg jednego z bardziej zniszczonych budynków opierał się śpiący kloszard, dawno wyjęty na margines społeczeństwa. Siedział nieruchomo, otulony sfatygowaną, dziurawą kurtką. Czy przeżyje następny, lodowaty dzień? Nie wiadomo. A ona nie mogła martwić się innymi. Pozostawiona na pastwę losu zwierzyna bywa obojętna na zbędne, nietyczące się jej sprawy.

W chwili, gdy ujrzała światła ulicy, powróciła nadzieja. Myślała, że bardziej przyspieszyć już nie może. Pomyliła się. Zbawienny wydał się warkot samochodów i hałas wiecznie dzwoniących aparatów komórkowych. Ulga przyszła za szybko, wylała się falą przyjemnego ciepła. Miała szczęście, wyszła na normalny, oświetlony chodnik, wkoło co jakiś czas chodzili ludzie. Oparła ręce na kolanach i oddychała głęboko. Spojrzała na ciemny, pozbawiony duszy korytarz między kamienicami. Powinna uciekać. Wołać po pomoc. Jednak kiedy poczuła duszący, sosnowy zapach, było już za późno. Stracenie czujności równa się błąd, którego nie umiała sobie wybaczyć. Napastnik naparł na dziewczynę ciałem znacznie wyższym i cięższym od niej. Złapał ją na wysokości splotu słonecznego, pozbawiając oklapłe od biegu, zmęczone płuca tchu. Nieznajomy uznał chyba, że dziewczyna obecnie nic mu nie zrobi. Zatkał jej usta dłonią i nerwowo szperał po licznych kieszeniach spodni. Ręce pozostały jednak niechronione. Zwinnym ruchem powędrowały do dziury, ukrytej w połach płaszcza. Prawą złapała czerwony szwajcarski scyzoryk i szybko złożyła. Mocniej chwyciła rękojeść i nie myśląc o konsekwencjach wbiła mężczyźnie w brzuch. Napastnik wrzasnął i rozluźnił uchwyt, dotknął miejsca, z którego powoli wypływała brunatnoczerwona krew. Zatoczył się i zaklął paskudnie pod nosem. Nie widząc innego wyjścia, popchnął dziewuchę na ruchliwą ulicę. Potknęła się na krawężniku i upadła na kolana. Zanim zdążyła otrząsnąć się z szoku zobaczyła ekspresowo zbliżające się reflektory rozmazanego łzami samochodu. Tak samo błyskawicznie ujrzała ciemność.

Wiszące lampy białego, świeżo odrestaurowanego szpitala sprawiały wrażenie naśmiewających się z biednej dziewczyny, przypadkowej ofiary psychola z zaułka. Doktor Drzyzgowski szybkim krokiem zbliżał się do sali, na której uratuje kolejne życie. Znowu. Lewą dłonią przeczesał płowe, ścięte na sierżanta włosy i raz po raz przebiegał wzrokiem po karcie pacjenta. Smuglewska, Pantea… rodzice musieli mieć poczucie humoru. Obrażenia wewnętrzne? Hmm… krwotok, dwa złamane żebra. Wpadła pod samochód, uderzyła głową o chodnik. Lekki wstrząs mózgu. O siniakach, obtarciach na powierzchni ciała nawet nie trzeba wspominać, nie jest to coś, co zagroziłoby jej życiu.

Kiedy lekarz mijał kolejne sale operacyjne dopadło go zwątpienie. Ta historia wydała mu się mniej niż prawdopodobna. Kierowca widział tylko dziewczynę, wpadającą pod jego samochód. Żadnych innych świadków. Jakoś to mało prawdopodobne. Ot, nastolatka tak sobie chciałaby popełnić samobójstwo, kiedy nawet po jej ubiorze można rzec, że raczej małolacie nie uśmiechał się taki obrót spraw… Po chwili wszedł do sterylnie wydezynfekowanego pomieszczenia. Wdział kitel, materiałową maskę na twarz, a włosy związał siateczką. Wyszedł na korytarz i dokładnie zamknął stalowe, ciężkie drzwi z firmowym kalendarzem, nastawionym na piąty dzień stycznia. Perfekcyjnie, jak zawsze. Zaś parę metrów dalej małym kluczem otworzył wejście na salę Smuglewskiej. W grobowym milczeniu pozostali lekarze czekali na głównego chirurga. Ten bez słowa podszedł do miniaturowej wieży muzycznej i wyszukał Requiem Mozarta. Nacisnął „play”.

- Do roboty, ludzie. Dziewczyna sama się nie uratuje.

Budziła się powoli, z nieukrywanym mozołem. Praktycznie nie czuła nóg. Delikatnie pogładziła się po obolałej skroni i stwierdziła, że ma nienaturalnie małe dłonie. Odzyskując pełną ostrość widzenia rozglądała się po zatęchłym, pokrytym pajęczynami pomieszczeniu. Znała je. Zdawało się, że z najgorszych koszmarów. Niegdyś przychodziła tu po takie durnoty jak kompot truskawkowy lub przymus wypłakania się bez obecności świadków. Teraz piwnica wydawała się tak samo wielka jak dawniej, lecz stosunkowo teraz powinna być mniejsza. Przecież siedem lat to spory szmat czasu. Pantea gwałtownie wstała. Spojrzała po sobie i nerwowo wciągnęła powietrze. Nie wiedziała, kto mógł ubrać ją w starodawny, biały płaszczyk z obszernym kapturem i czarne trzewiki. Nigdy nie uznawała matki za bezguście, zawsze to ona dobierała elementy garderoby, zachowując szyk i spójną całość. Myślała, że wiedziała o niej wszystko. Przestała ją znać w wieku ośmiu lat… Jednak poza dziwacznym ubiorem podejrzliwość wzbudziły chude i małe ciało, drobne rączki i nóżki.

Niecierpliwie chodziła po pokoju usiłując stwierdzić, co się zmieniło. Połamane, wyszczerbione półki na stare wolumeny i segregatory wyglądały tak samo. Trzy szare od kurzu rowery stały na swoim miejscu. Rodzinne zdjęcie, ukazujące szczęśliwą rodzinę… wisiało, choć wolałaby je zniszczyć. Zbyt piękne. I zbyt nieprawdziwe. Tynk odchodzący od niegdyś białych ścian, pobrudzonych olejem i ingerencją czasu, nie odnowił się ani trochę. Pomimo wcześniejszych wątpliwości musiała to przyznać. Lokum prezentowało się tak, jak je zapamiętała. Odetchnęła z ulgą i wolno podeszła do drzwi. Pchnęła je z całej siły, ale nie zamierzały współpracować. Popatrzyła na odklejającą się farbę z rosnącym niepokojem. Spojrzenie dziewczyny powędrowało na wykruszoną przestrzeń między drewnem a sufitem. Bingo. Prześwit na tyle duży, aby udało się przejść. Wtem wyszły one. Długie owłosione nogi w ekspresowym tempie poniosły potwory do Pantei. Czerwone ślepia łypały złowrogo. Jedyny element, który uległ ewolucji. Niegdysiejsze pająki udawało się rozgnieść gazetą lub butem. Ale gigantyczne w porównaniu do panienki monstra tylko czekały, aby wgnieść ją w podłogę. Mimo chwilowego paraliżu zdołała zebrać poszarpane nerwy i wbiec na pokaźną szafę z zakurzonymi księgami. Drobna postura pozwoliła pokonać kruche półki. Wyszła na samą górę. Ostrożnie przecisnęła głowę przez dziurę, gdy czarne bestie nadal maszerowały za nią. Usiadła na szczycie drzwi i zawahała się, w kolejnych czterech ścianach panowała nieprzenikniona ciemność. Wzięła bardzo głęboki oddech i odepchnęła się od niestabilnego podłoża, przeskakując w mrok.

Zewsząd słyszała szepty. Otaczały z każdej strony. Nie mające źródła głosy, bez określonej barwy i tonu. Szydziły z niej. Nie, obwiniały. Wylewały na nią litrami niezliczone pokłady kłamstwa. Wszystko, co działo się w domu… Nie, jednak śmiały się. Malutka, głupiutka, wątła, strachliwa. Wyliczały bez przerwy puste obelgi. Boi się każdego rogu, zakamarka. Wyskoczy potwór? Nietoperz? Niedźwiedź? Dziecino, oj niemądra. Dom na skraju lasu… Tu chodzą demony, a złe duchy nie śpią. Tu działy się straszne rzeczy. Nie przeraża cię ciemna plama w samym centrum umysłu? Pantea złapała się za głowę. Nie. Nie. NIE! Pragnęła krzyczeć, wrzeszczeć, lecz to by nic nie pomogło. A ona chciała się wydostać. Dookoła tylko ciemność. Nie, nie tylko. Pod przeciwległą ścianą dojrzałą otulony mgłą płomyczek. Walcząc z otępiałością i narastającymi odgłosami, pobiegła ile sił w stronę światła. Dobiegła, padła na kolana. Osiągające punkt kulminacyjny półgłosy zmieniły się w gwar. A temat nadal ten sam. „Twoja wina!”. Trzęsącymi się rękami złapała za źródło nadziei, małą zapalniczkę Zippo. „Przeklęta dziewucha!”. Pomachała nią przed sobą na znak odgonienia straszydeł. „Nie uciekniesz!”. Mimo stałego światła panika nie przeszła. Szła wzdłuż ścian, oglądając się za siebie w obawie na zmaterializowanie się oskarżycieli. Znalazła mysią dziurę, w sam raz, aby mogła się przeczołgać. Zaprowadziło to ją na wiekowe schody. Wchodziła wolno, stopień po stopniu, chociaż nigdy im nie ufała. W paru miejscach znajdowały się uszczerby, nie łatane od lat. Nagle trzasnęły deski. Dziewczyna wkopała się, po pas uwięziona w próchniejącym drewnie. Jego ostre końce poharatały delikatne dłonie, zostawiając na nich bolesne drzazgi. Z zadrapań wypływała krew. Pantea podciągnęła się rękach. Nic. Spróbowała raz jeszcze. Pozostawiając brunatne ślady na schodach złożyła domowi ofiarę, która poskutkowała powolnym, acz skutecznym, puszczaniem jej wolno. Nareszcie się udało. Na płaszczyku zostały wystrzępione dziury. Złapała w znieczulone bólem dłonie swoje Zippo i ostrożnie ruszyła ku szczytowi schodów. Zadbane, szare drzwi puściły bez zbędnego wysiłku i dziewczyna wyszła na oślepiający kunsztem i elegancją parter.

- To wszystko, co miała? - zapytała podejrzliwie Brygida Smuglewska, impulsywnie obdrapując biały lakier z jeszcze niedawno perfekcyjnych paznokci. Fazę płaczu miała za sobą. Przyszedł czas na niepewność.

- Tak, proszę pani - odparła z dodającym otuchy uśmiechem praktykantka. Założyła za ucho niesforny kosmyk kasztanowych włosów i wbiła wzrok w prawie czarne oczy zaniepokojonej kobiety. Ta szybko powróciła do przeszukiwania torebki. - Czy coś jest nie tak? - zapytała oczekując przeczącej odpowiedzi.

- Nie, tylko… kiedy wychodziła z domu miała ze sobą legitymację. Teraz jej tu nie ma. - Kobieta szukała po wszystkich bocznych kieszeniach. Przepadła. Z głębokim westchnięciem spojrzała błagalnie na wysoką, na oko dwudziestoparoletnią dziewczynę z nieukrywaną bezradnością. Zniecierpliwieni pacjenci poganiali zatrzymane na środku korytarza babcię i pielęgniarka.

- Przepraszam, muszę wracać do pracy, a nie zdążyłam skorzystać z toalety… - powiedziała wymijająco protegowana i ominęła Brygidę. Ta, załamana bezdusznością szpitalnego personelu mało nie wybuchła.

- Musi mi pani pomóc! - Oddychała głęboko, kurczowo ściskając torebkę z ważnymi dla Pantei rzeczami.

- W tej chwili nie mogę. Bardzo mi przykro. Ale dziewczyną zajmuje się lekarz. Niech pani z nim porozmawia - odrzekła lekko, jakby za każdym razem spławiała ludzi, odsyłając ich do swoich przełożonych.

- Co to za lekarz? - Uspokajała się nadzieją o poznaniu prawdy. Pielęgniarka zarumieniła się uroczo, kamuflując drobne piegi na policzkach.

- Łukasz… to znaczy… doktor Drzyzgowski.

Dopiero kiedy Pantea wyszła na parter naprawdę zobaczyła, jak malutka wydawała się dla świata. Zawsze peszył ją przepych rodzinnego domostwa, lecz teraz czerwone ściany i liczne poroże wręcz przerażały. Jej oczom ukazał się obraz dawnych lat. Goście, dużo gości. I dzieci. Wydawali się szczęśliwi i kompletnie zajęci swoimi sprawami, jakby wspólnie odcięci od świata. Podbiegła do najbliższej bandy niedorostków i przywitała się nieśmiało. Poza byciem najmniejszą zasmucił ją fakt braku odpowiedzi. Stała tam, niepotrzebna i ignorowana. Wtem horda naradziła się na kolejną zabawę i rozbiegły się po salonie. Jedno z bachorów wpadło prosto na dziewczynę, depcząc jej kruche ciało. Upadła, nabiła sobie sińca na kolanie, a dziecko pobiegło dalej. Dupek, pomyślała. Jednak chłopiec nie okazał się wyjątkiem. Wszystkie siły ludzkie w tym pomieszczeniu zespoliły się przeciw niej. Szarpała się z przygnębieniem, nie miała sposobu na ignorancję innych. Najwidoczniej tak właśnie wyglądała samotność. Chciała z tym walczyć, ale z niewiedzą się nie wygrywa. A nikt nie zdawał się zwracać uwagi na to, że ona istnieje. Miotała się z kąta w kąt, szukając zapomogi od ciężkich butów, trącających ją równie lekko jak szmacianą lalkę. W sercu zapłonął ogień. Dobrze oświetlony pokój nie potrzebował do szczęścia małego Zippo, ale spoczywający w małej kieszonce nadal dodawał otuchy. Pragnęła uwolnić się od przytłaczającego gorąca oprawionych ramką pejzaży i stołów zapełnionych zakorkowanymi butelkami. Slalomem przebiegła między obleśnymi ciałami, które przestały wydawać się takie sympatyczne. Dotarła do jedynej wolnej toalety i rozedrgana od środka schroniła się za muszlą klozetową. Skuliła się z tyłu zaraz obok rury odprowadzającej. Musiała przeboleć paskudne warunki śmierdzącego azylu.

Czerwona ciecz wlewała się do toalety stopniowo i bezgłośnie. Dziewczyna raptownie uniosła się i wstała z mokrej podłogi. Przemoczona do kolan wybiegła z klaustrofobicznego pomieszczenia. Na zewnątrz nie miała problemu z ludźmi. Trzy czwarte leżało na podłodze i nieprzytomnym wzrokiem błądziło po podmokłej sali biesiadnej. Parę zachłannie piło płyn z ziemi, a następnie się krztusiło. Wielu z nich wydawało się, że pływają. Żałosne, pomyślała, ostrożnie mijając zataczających się i rozlewających trunek z obszernych kieliszków gości. Czerwone wino, bez żadnych wątpliwości. Dzieci zniknęły, wypatrzyła je dopiero zaglądając przez zbitą szybę w oknie. Pobiegły do lasu. Pewnie nie wrócą do domu… Zamurowało ją. Najgorsze przyjęcie w życiu… Urodziny. Brodząc po kolana w napitku czuła smród grzechów i przewinień osób dookoła. Nie chcąc oglądać tych wstrętnych ludzi zawędrowała do kuchni, jedynego miejsca o dziwo uwolnionego od alkoholizmu. Na dźwięk tasaka ćwiartującego surowe mięso schowała się za blatem. Wcisnęła się w przestrzeń między drewnem a kamienną ścianą. Tłusty kucharz o wykrzywionej wardze i wiecznie niezadowolonym spojrzeniu oderwał się od pracy. Wodził po stanowisku pulchnymi paluchami, szukając więcej składników. Śmietnik w rogu przewrócił się, ujawniając spleśniałe resztki. Obserwującej wydarzenia Pantei żołądek podszedł do gardła. Wtem z kosza wybiegł duży szczur. Podreptał cicho do obszaru, gdzie co jakiś czas spadały fragmenty niezbyt świeżej wieprzowiny. Zwierzę pochwyciło w zęby kawałek. Kucharz idealnie przepołowił go tasakiem, krzycząc przy tym niezrozumiały bełkot. Dziewczynę przeszedł dreszcz. Przez wzgląd na to, że nie zamierzała skończyć jako przecięte na pół chucherko, tłumiła narastające burczenie w brzuchu. Chociaż kawałek. Lub obierek z warzywa. Cokolwiek… Ruszyła powoli w stronę pogrążonego w pracy kucharza. Gdy znalazła się na tyle blisko, aby zgarnąć szczątek jedzenia, złapała i pobiegła do wyjścia. Grubas wyjął gigantyczny kuchenny nóż i gonił złodziejkę. Nie mógł ruszyć się ze swojego lokum, więc stanowił łatwy cel do przechytrzenia. Będąc u drzwi zamachnął się i rozciął dół płaszczyka dziewczyny, która otrzymała przez to dodatkowy pęd i zamknęła lekkie drzwi przed jego nosem. Zdyszana usiadła pod ścianą i łapczywie wcisnęła w siebie drobinę. Starała się zgasić wstręt. Na próżno. Złapała się za brzuch i zwymiotowała prosto w pokłady czerwonego wina. Nikt nie zauważy, pomyślała. Skierowała się na schody, u dołu stanęła jak wryta. Całe ciało trzęsło się jak na czterdziestostopniowym mrozie. Oddychała głęboko, wystrzępione paznokcie wbiła we wnętrze dłoni.

Pan Smuglewski szybkim krokiem przemierzał certyfikowane korytarze szpitala. Serce biło jak szalone. Nie drugiej ukochanej kobiety w jego życiu. Nie pozwoli na to. Czarny, szyty na miarę garnitur rozpinany na szybko, powiewał swobodnie przez podmuchy powietrza z klimatyzacji. Kierował się poleceniami zniecierpliwionej pielęgniarki z recepcji. Usiadł pod jedną z sal i zaczerpnął swobodnie powietrza.

- Halo? Z kim rozmawiam? - odezwała się podstarzała kobieta do nieznajomej po drugiej stronie telefonu.

- Och, dzień dobry… Pani pewnie jest babcią Tei? Nazywam się Sabina, jestem przyjaciółką pani… krewnej - odpowiedziała ze słyszalnym skrępowaniem dziewczyna. - Gdzie Pantea? Miała być u mnie jakiś czas temu - zapytała bezpośrednio przyjaciółka.

- Ona… - załamał jej się głos – jest w szpitalu. Miała wypadek – wydusiła szybko hamując łzy.

- Nie… - urwała, nie wiedząc, co powiedzieć – to niemożliwe… - Stłumiła szloch. Chwilę zajęło, zanim otrząsnęła się z szoku. - W jakim szpitalu?

- Specjalistycznym, na placu Medyków.

- Przyjadę jak najszybciej. - Brygida rozłączyła się i z cichym westchnieniem odłożyła telefon do torebki wnuczki.

Nogami jak z waty szła coraz wyżej, czekając na wyskakujące na jej twarz demony. Już od połowy schodów dobiegły ją krzyki. Zmodulowane do złowieszczych powarkiwań głosy bardziej przypominały potwory z horrorów niż własnych rodziców. W tym strasznym akompaniamencie kłótni weszła do pierwszego z brzegu pokoju. Mahoniowe drzwi puściły bez problemu i po chwili patrzyła na dwie śnieżnobiałe kołyski. Po pomieszczeniu błąkały się dziecięce śmiechy i krwawe odciski malutkich dłoni. Zajrzała do kołysek. Pierwsza, przykryta srebrną koronkową chustą, druga zaś we wnętrzu pokryta krwią. Obie nieużywane od dawna kontrastowały ze sobą. Niewinność i zbrodnia. Czystość i brud. Życie i śmierć. Gdy dziewczyna chciała dotknąć czerwonej plamy, wrzaski narosły i dało się wyróżnić słowa „nie dotykaj”. Podmuch powietrza wypchnął ją z dziecięcego schronu. Oddychała głęboko. Ominęła dwa kolejne pomieszczenia, przeszła do ostatniego. Mało używane, opatrzone dwuzamkową kłódką drzwi nie przepuszczą jej bez ingerencji kluczy. Cofnęła się do drugiego pokoju i naparła na bukowe drzwi. W środku, w tumanach ciemnego papierosowego dymu, zginała się w pół przeraźliwie chuda kobieta o papierowej cerze i pozbawionych blasku czarnych włosach. Wymiotowała, ciało trzęsło się w konwulsyjnym bólu. Pantea podeszła do matki. Delikatnie przejechała po wystającym kręgosłupie. W niemej odpowiedzi kobieta przeniosła wzrok na połyskujące łzami ślepia dziewczynki. Chciała płakać. Za zmęczenie pod oczami, popękane od wiecznego przygryzania usta, utracone piękno byłej modelki. Dojrzała coś dziwnego, zwisający z jej szyi kluczyk. Matka złapała za dłoń małej i gładziła chropowatym kciukiem delikatną skórę. Zwyciężając gorycz złapała za niewielki przedmiot. Została wypchnięta za drzwi. Otworzyła niewyróżniające się wejście, niegdyś prowadzące do sypialni rodziców. Źródło krzyków, wypełniających całe piętro. Z głośnym zgrzytem weszła w środek kłótni. Przerysowana z poprzedniego pomieszczenia żona o zbyt chudych jak na jej wiek nogach i rękach oraz karykaturalnie wielki mąż – tyran, otoczeni zegarami wybijającymi jedną godzinę – północ. Ostatni klucz wisiał tuż nad oknem w ścianie naprzeciwko. Jednak skrzyp zwrócił uwagę w tej chwili tak obcych dla niej ludzi. Głos ojca skierował się na nią. Widząc zbliżające się łapska cisnęła najbliżej stojący, mały budzik prosto w twarz bez oczu. Wspięła się na niską komodę, strącając papiery leżące pod nogami. Podciągnęła się po półkach z kwiatami na sam szczyt szafy i z trudem zrzuciła jedną z większych stojących doniczek. Podbiegła do okna, wyciągnęła dłoń po przedmiot z grawerem gołębicy. Zgapiła się, oglądając krajobraz za oknem. Ciemny las zachęcał natychmiastowym schronieniem. Jednak to zwykła szyba, nie ma opcji otworzenia go. Potężne łapy złapały dziewczynę za kark i rzuciły o ścianę. Uderzyła w twarde dzieła zegarmistrzostwa, kręgosłup konał w tępej boleści. Jak worek z kartoflami spadła na podłogę. Ćmiło ją, oczy nie mogły nabrać odpowiedniej ostrości. Kapturek wystrzępionego ubranka zsunął się z twarzy, ujawniając licznie siniaki i zadrapania. Nie potrafiła się przełamać, lecz nie zamierzała się poddać. Naciągnęła materiał z powrotem i podpierając się o ścianę ruszyła w stronę wyjścia. Z trudem i bolącą głową wyszła z zamknęła drzwi. Ledwo trzymała się na nogach. Pierwszy raz w życiu szczerze dziękowała za ignorancję ze strony rodziców.

Podeszła do kłódki i włożyła klucze do odpowiednich dziurek. Stal puściła i z głuchym łoskotem spadła na dywan, wzbijając tumany kurzu. Ostatnia prosta. Z łatwością wyczuła złą energię, płynącą z pomieszczenia. Szybko wsunęła się do swojej dawnej kwatery. Widok gęstej krwi, wypływającej z pustych oczodołów matki sparaliżował i pozbawił wszelkich chęci. Wnętrzności przewracały się jak w kalejdoskopie. Na ściany spłynęły pokłady szkarłatu. Obracała się wokoło, starając się opanować punkt kulminacyjny swojej paniki. Z szarych, martwych ust ciekła gorąca, wypalająca dziury w podłodze krew. Pantea stopniowi podchodziła. Chwyciła kobietę za rękę. Jej skóra zwęgliła się w miejscu dotyku, dziewczynka cofnęła się. Matka wydarła się przeraźliwie, aż jej głos potoczony echem obszernej sypialni zniknął równie prędko jak się pojawił. Upadła na kolana, zakryła oczy dłońmi. Krew tryskała spod nich jak wybuchający gejzer. Otępiała małolatka wycofała się na korytarz. Z impetem zatrzasnęła drzwi. Zostawiła kobietę w pozie zatraconej we własnym życiu. Podeszła do wyszczerbionej przez robactwo ściany i załamana oparła się o nią nadal obolałymi plecami. Usiadła okrakiem na podłodze i podsunęła kolana do klatki piersiowej. Zanim oddała się rozpaczy usłyszała głuchy strzał z pistoletu i upadek lekkiego ciała na dywan. Wszelkie głosy ucichły. Płakała, długo i intensywnie.

- Ja muszę przy niej być! - piętnastoletnia dziewczyna w szarej spódniczce i cytrynowej bluzce podniosła głos na lekarza.

- Niech pani się nie wydziera, jesteśmy w szpitalu – skwitował ją doktor Drzyzgowski. - W tej chwili nie można jej odwiedzać. - Lodowate spojrzenie przeszyło na wylot ciało Sabiny. Odszedł szybkim krokiem i zajął się własnymi sprawami. Zapominając o ostrożności nie domknął drzwi. Dobra okazja, lepszej nie będzie, pomyślała. Wślizgnęła się do pokoju. Ujrzała pokiereszowane ciało przyjaciółki i nieprzytomnie otarła zbłąkaną łzę. Usiadła na białym, zdobionym malowanymi różami krześle i złapała Panteę za rękę.

- Jestem z tobą.

Dziewczynka wyjęła małe Zippo i cisnęła nim o podłogę. Nadzieja to dno. Nagle w aurze jasnego światła wyłoniła się piękna postać o złotym włosiu. Dotknęła ramienia Pantei i pocałowała w czoło.

- Znam cię – odezwała się ochrypłym głosem mała. Jasna panienka uśmiechnęła się.

- Wiem. Jestem z tobą – odpowiedziała postać. Odgarnęła kaptur z twarzy dziewczynki i spojrzała ze współczuciem. Ta ofiarowała jej zmęczone spojrzenie okraszonych siniakami oczu.

- Nikt mi już nie pomoże. - Odwróciła wzrok.

- Tak, bo to wszystko dzieje się w twojej głowie. - Zniknęła w białej, gęstej mgle.